

Islandia

Gdzie – Islandia

Kiedy – wrzesień 2014

Kto – Asia & Paweł & Dzik & Aga



Przygoda zaczęła się już na samym początku. Bajtek podrzucił nas z Malerzowa na stację benzynową na Bielanach Wrocławskich, skąd mamy zamiar przetransportować się na lotnisko za Londynem. Tak – Londynem – nie Łądkiem. Nie mamy pewności co napisać na kartonie. Goerlitz? Berlin? Dresden? Londyn? Luton? Wychodzi brak doświadczenia. Dla nas obojga, tzn. dla mnie i Agi jest to pierwsza podróż autostopem. Na stare lata nam przyszło...

I co? I przez parę godzin nie zatrzymaliśmy nikogo! Mieliśmy szczęście, że za plecami zatrzymał się tir, a kierowca widząc nas sam do nas podszedł. Wyraźnie szukał towarzystwa. W ten sposób wszyscy byli zadowoleni. My wysłuchaliśmy naszych pierwszych historii z życia tirowców, szczęki opadały nam coraz niżej i w takim klimacie dojechaliśmy do granicy z Niemcami. Ponieważ był już wieczór kierowca zaproponował, byśmy spali z nim w kabinie. Przygoda! Spanie na górnej pryczy można porównać do spania we dwójkę w hamaku, ale i tak się wyspaliśmy. Może to przez te wspólnie wypite piwka?



Rano na granicy znów szukaliśmy okazji. Dostyc szybko dotarliśmy w okolice Berlina. Tu na stacji krótki skecz: widzę dwóch facetów rozmawiających po niemiecku. No to zagaduję ich w ich języku ale kiwają głowami, że „nic z tego”. Zaledwie parę minut później biegnie Aga. Znalazła transport. Patrzą – Ci sami faceci, ale po polsku już gadają. No i mówię, że przecie przed chwilą ich pytałem i odmówili. A oni na to, że myśleli, że ja Niemiec. A Niemca by nie podwieźli.

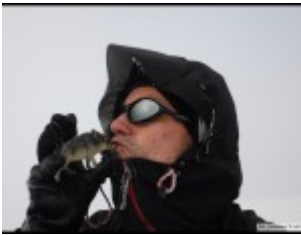
Tymi sposobami szybko znaleźliśmy się w okolicy Dortmundu. Tam, po pewnym nieporozumieniu lądujemy na parkingu zwykłym. Z WC wprawdzie, ale bez stacji benzynowej. Niemiec, który nas tu wysadził przeproszał nas, że coś mu się pomieszało i ma nadzieję, że ktoś nas stąd zabierze. Otóż lepiej nie mogliśmy trafić. Jak wysiadłem z jego samochodu tak się przesiadłem do busa z Polski. Jego kierowca to była pierwsza osoba, którą Aga zapytała dokąd jedzie. A ten – że do Calais. Rewelacja. Wieczorem jesteśmy na parkingu dla kierowców. To stąd zaczyna się przeprawa tunelem do Wielkiej Brytanii. Kolejny wieczór w podróży i kolejna impreza. Chłopaki przynoszą kartony piwa – nie liczy się jakość, liczy się MOC! Tej nocy śpimy na pace busa, wraz z towarem. Rano prysznic i w dalszą drogę. Tym

razem łapiemy stopa przy wjeździe na punkt kontrolny przed kanałem La Manche. Zatrzymuje się przesympatyczny kierowca. Nie tylko przeprowia nas na Wyspę ale jeszcze organizuje McDonaldsową ucztę. Nie jesteśmy fanami tego jedzenia ale w takich warunkach? Jedząc ze Szwedzkiego Stołu na podeście kabiny nowiutkiego tira Volvo? Jesteśmy pod wrażeniem jak wszystko gładko nam idzie.

Popołudniu wysiadamy kilka km od lotniska Luton. Mamy wciąż spory zapas czasu do odlotu samolotu do Islandii. Wchodzimy w najprawdziwsze pole i w krzakach pod płotem rozkładamy namiot. Wieczorem niepokoją nas jeszcze dziwne odgłosy. Okazuje się, że za płotem jest pole golfowe. Jeszcze kilka uderzeń, ostatnie odgłosy i zapada cisza. Idziemy spać.

Rano robię fatalny ruch. Nierozgrzany, nierozciągnięty postanawiam przesunąć plecak w przedsionku namiotu. Coś mi strzela w plecach i leżę bez ruchu. Jedynie jęcząc. W głowie mam wizję: Aga leci do Islandii a ja kilka dni leżę w angielskim szpitalu. Jednak z czasem – z pomocą przyśpieszonej rehabilitacji – zdołam się podnieść. Z bólem dźwigam plecak i ruszamy na ostatni odcinek naszej przygody. Jak to ostatni?! Przecież jeszcze nawet nie dolecieliśmy do Islandii! A jednak tak to wspominam – jako prawdziwą przygodę. Ta podróż, ci ludzie – to przygoda przez duże „P”. Gdy po paru godzinach wchodzimy (tak, wchodzimy, bo szliśmy dwupasmówką, przez ronda, skrzyżowania, światła) na lotnisko to wiemy, że kończy się pewien etap. A zaczyna inny, dzięki naszym przyjaciołom również emocjonujący. Ponieważ Paweł i Asia wyjechali dobie później, do końca nie było wiadomo czy zdążą na samolot. Co jeśli nie? Bałem się o tym myśleć. Na szczęście zjawiają się w nocy, uff!

A Islandia?



Islandia to obrazy. Piękne, unikatowe. Jednak ja się skupię na najważniejszym dla mnie celu: najwyższym szczycie tego państwa. Cel został zdobyty, lecz w stylu odbiegającym od tego, który bym sobie wymarzył. Prognozy pogody nie sprawdziły się zupełnie i zamiast tzw. „clear” mieliśmy totalną mgłę. W ten sposób podążaliśmy w całkowitej pustce, z głową wbitą w GPS z mapą i zapisaną ścieżką. Tylko dzięki temu elektronicznemu urządzeniu udało nam się osiągnąć wierzchołek. Cel odhaczony. Kolejny szczyt – perełka – do korony. Jednak bez wątplenia z poczuciem niedosytu. Czy kiedyś tam wrócę? Pewnie nie. Pozostanie tak jak jest. Zdobyty szczyt, mimo fatalnych warunków. Bez praktycznie żadnych widoków czy też nowych doświadczeń. No chyba, że mówimy o jedzeniu gotowanych jajek siedząc na czekanach wbitych w lodowiec. To było coś nowego!

tekst: **Dziku**

